Malcolm Jameson

Poseł obcych

(Alien Envoy)

Astounding Science Fiction, November 1944
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Telekom gardłowo zaterkotał, a potem ucichł. Głos, który z niego dobiegł, należał do Terry'ego, agenta polowego beemwuwu.

— Hej, szefie, na wizji jest coś, na co powinien pan rzucić okiem. Zdaje się, że to będzie coś idealnie dla nas.

Ellwood odsunął na bok akta, które przeglądał. To były zwykłe głupoty o niepokojach pośród talagów z Doliny Darnleya i czarne prognozy na temat ich rewolty, tak jakby pomruki wśród talagów były czymś nowym. Oni zawsze warczeli, a nigdy nic z tego nie wynikało. Talagowie już tacy byli. W każdym bądź razie, była to rutynowa sprawa, która nigdy nie powinna trafić na biurko dyrektora. Szef beemwuwu – jak nazywano od pierwszych liter Biuro Międzyplanetarnego Wywiadu Wojskowego – nie cierpiał, aby zawracano mu głowę błahostkami.

— Słyszałem pana, Terry — warknął. — Niech to wrzucą na ekran.

Wielki ekran po drugiej stronie pomieszczenia obudził się do życia. Przez chwilę nie było na nim widać niczego poza wirującym szarym chaosem zakłóceń, a potem kolor pogłębił się do aksamitnej, purpurowej czerni. Ekran nabrał głębi i jedna po drugiej pojawiły się na nim płonące zimnym blaskiem gwiazdy. Przez parę sekund to było wszystko, a następnie w pole widzenia wdryfował jakiś obiekt. Miał kształty masywnej kropli wody, w kolorze połyskującej srebrzystej zieleni, zwieńczonej przysadzistą wieżyczką, z której wystawał tępy pysk jakiegoś śmiertelnego emitera. Nie było jednak widać fioletowej poświaty, zwykle otaczającej krótką lufę tego rodzaju działka.

Ale to był tylko szczegół. Ellwood sapnął, przebiegając wzrokiem obraz całego statku, przesuwającego się powoli na środek pola widzenia. Tylna jego połowa świeciła i migotała jaskrawym, cytrynowożółtym ogniem, przygasając z wolna do poziomu ciemnego oranżu, i dalej wiśniowej czerwieni, w miarę jak udręczony kadłub statku wypromieniowywał gwałtowne gorąco w przestrzeń kosmiczną. Statek dostał wystrzałem z promienia katatronowego. To było jasne, ale to jeszcze nie wszystko. Widać było wielką dziurę, ziejącą przez całą rufę, którą wylatywały świecące gazy, tylko po to, by natychmiast rozpłynąć się w kosmicznej próżni.

— Ursanin! — wykrzyknął Ellwood. — W końcu przebiliśmy się przez obronę któregoś z nich! Kto to zrobił?

— Komandor Norcross na *Penelope*. Władował mu torpedę Mark IX, i weszła. Ale, mówię panu, szefie, to jeszcze nie wszystko. To całe starcie było takie dziwaczne, jak nie wiem co. Ursanin nie odpowiadał ogniem, a wie pan jak zazwyczaj są ostrzy. Przez cały czas emitował tylko straszliwe wycie, brzmiące tak jakby wszystkie zakłócenia po tej stronie Obłoków Magellana, zwinęły się w jedną kulę. I niech pan rzuci okiem na współrzędne.

Wzrok Ellwooda powędrował na blade liczby w dolnym rogu ekranu. Były tam trzy wielkości – szerokość i długość niebieska oraz kąt

nachylenia. Zniszczony Ursanin był mniej niż milion mil od nich – w niewielkiej odległości za Księżycem i lekko w górę, mniej więcej dwadzieścia stopni.

— Co on, u diabła, robił tak daleko w Układzie? — spytał Ellwood. — Od czterdziestu lat nie zapuszczali się poza Jowisza.

— Nie mam pojęcia. Dlatego właśnie połączyłem się z panem. Norcross twierdzi, że on tylko wykonał swoją robotę. Sprawił Ursanom łomot, i w okolicy nie ma innych ich jednostek. Chciałby się dowiedzieć, czy ma po prostu wezwać ekipę wrakarzy i wepchnąć wrak na orbitę, czy wziąć go na hol, aby mógł pan się mu bliżej przypatrzyć.

Ellwood w odpowiedzi zaczął niemalże wrzeszczeć do telekomu.

— Oczywiście, że zaparkować go na podjeździe Laboratorium Q-5, wy durnie! Czyż na coś takiego nie czekaliśmy przez całe życie?

Telekom zatrzeszczał i ucichł. Palce Ellwooda wręcz śmigały po panelu z przyciskami.

— Q-5? Przygotować się do zadania o potrójnym priorytecie… nasz krążownik dorwał Ursanina… nie, mam na myśli dokładnie to co powiedziałem, że go *dorwał*… wisi teraz martwy w kosmosie i jest niemal nietknięty. Zaciągną go do was, powinni dotrzeć jutro o tej samej porze. Wezwijcie z powrotem Twitcherly’ego i upewnijcie się, że jest tam Darnhurst. Natychmiast wyruszam strato-liniowcem i zabiorę ze sobą Gonzalesa. Macie mieć wszystko gotowe – kompletną metalurgię, chemię i magnetoniczne badanie kadłuba. Wydaje mi się, że najlepsza będzie procedura Valois. I chcę tam mieć pod ręką zespół medyków pozaplanetarnych. Musimy się dowiedzieć, jak ci Ursanie wyglądają, co ich napędza i całą resztę. To oznacza autopsję, jakiej nigdy jeszcze nie było, aż do poziomu histologii każdej komórki w ciałach tych potworów. To jest, jeśli oni są potworami i coś tam jeszcze z nich pozostało.

— W porządku, szefie, wszystko będzie gotowe do akcji.

Ellwood wykonał całe mnóstwo kolejnych telefonów. Potem rozsiadł się wygodniej i nieco odprężył.

Wydawało się, że to będzie nudny, ponury dzień, poświęcony jakimś rutynowym szczegółom. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Ten dzień zmienił się w dzień sukcesu, dzień możliwości o jakiej marzył każdy główny dyrektor przed nim, ale nigdy jej nie otrzymał. Kim właściwie byli Ursanie? Skąd przybyli i czego chcieli? I dlaczego ci obcy z jakiegoś nieznanego świata w kosmosie, zawsze walczyli z taką morderczą zaciekłością, pomimo że jednocześnie byli faktycznie nietykalni? No i co można było zrobić, aby poprawić technikę stosowanych przeciwko nim środków walki? Było to groźne pytanie, budzące żywe zainteresowanie wśród wszystkich ras Ziemi, od czasu kiedy Ursanie po raz pierwszy najechali Układ Słoneczny.

Ellwood przebiegł w myślach najnowszy okres w dziejach. Pierwsi najeźdźcy nadciągnęli falą około pięćdziesięciu statków, wdzierając się w obszar działania Patrolu Kosmicznego, generalnie z kierunku Wielkiej

Niedźwiedzicy. Przy tej okazji odwiedzili większość z planet, przeprowadzając niewątpliwie coś w rodzaju rekonesansu, pomimo wszystkiego co heroiczni obrońcy kosmosu byli w stanie zrobić. Dziesiątki najeźdźców zostało złapanych w ogień szybkich wystrzałów katatronów, ale udało się ich zdezintegrować. Rozjarzali się tylko na chwilę oślepiającym blaskiem, a potem kontynuowali poprzednie działania. Odpowiadali na ostrzał z katów wyładowaniami ze swoich krótkich działek, w formie potężnych różowych błyskawic, które wykończyły niejeden ziemski statek i załogę. Aż do dzisiaj żadnemu z naszych statków nie udało się pozostać w akcji dostatecznie długo, aby wystrzelić wolniejsze ale bardziej skuteczne torpedy.

Wyglądało to bardzo dziwnie. Ursanie przybyli, a potem odlecieli, pozostawiając za sobą wypalone kadłuby kwiatu Marynarki Kosmicznej. Minęło dziesięć lat, a oni nie wracali. Pewni siebie pyskacze zaczęli głosić, że nasza obrona dała im lekcję pokory; nie ośmielą się już więcej u nas pokazać. Naiwni optymiści stanęli na stanowisku, że z pewnością okazało się, iż nie mamy nic czego by od nas potrzebowali, i dlatego nie powinniśmy się ich już dłużej obawiać. Byli jednak również i tacy, którzy przyjęli bardziej trzeźwy punkt widzenia. Flota została odbudowana i wzmocniona. Siła emiterów kat została znacznie zwiększona; prędkość torped podwyższona. Pod presją konieczności wymyślono również nowe rodzaje uzbrojenia.

Ursanie powrócili. Tym razem, jednak, przylecieli nie w jednej fali, ale w dziesięciu, zaś każda z nich miała ponad tysiąc statków. Był to rok ogromnej nieustającej bitwy przez całą drogę od orbity Neptuna, aż do Jowisza. Ziemskie siły zaatakowały obcych na obrzeżach układu i nie ustępowały aż do smutnego końca. Tym razem Ursanie także ponieśli wiele ofiar, ale ci którzy przeżyli, otoczyli ich tłumnie i odprowadzili w bezpieczne dla nich miejsce – przez skłębione amoniakalne chmury Jowisza do lądowisk, na które nie ośmielił się za nimi podążyć żaden ziemski okręt. Znużone resztki jakie pozostały z potężnej niegdyś floty obronnej, nie były w stanie wytrzymać zabójczej grawitacji największej planety Słońca. Wycofały się, by lizać swoje rany.

Przez pewien czas na planetach wewnętrznych panowało przerażenie. Ursanie nie kontynuowali swojego ataku, ale także nie odlatywali. Jasne było, że tworzyli wysuniętą bazę na Jowiszu. Przez następne dwadzieścia lat ich statki przylatywały i odlatywały, jednak nigdy nie zapuszczały się do wnętrza pasa asteroidów. Słabnąca Marynarka Kosmiczna atakowała ich zaciekle, ale najwyraźniej bezskutecznie. W pojedynkach między Ziemianami i Ursanami, zawsze wygrywali Ursanie. To była zniechęcająca, przegrana sprawa.

Wtedy nadszedł dzień, w którym cała ursańska armada wystartowała jedną potężną chmurą i odleciała w stronę północnego nieba. Do czasu kiedy nie pojawił się ten samotny statek, nie było żadnej nowej wizyty z ich strony.

— Tak się zastanawiam — zadumał się Ellwood, — czy te stwory przybywają kolejnymi falami jak Goci, Mongołowie, czy Hunowie, a to jest zwiadowca zapowiadający kolejną inwazję? A jeżeli nie, to co? Dlaczego ci Ursanie dali Norcrossowi czas na wsadzenie im torpedy? Zaspali? Pochorowali się? Problemy wewnętrzne?

Wstał. No cóż, przynajmniej mieli statek. To już coś.

Ellwood wyskoczył z samolotu i ruszył przez lądowisko. Strażnicy beemwuwu zasalutowali mu i zrobili przejście. Sto jardów od spoczywającego na ziemi wraku, Ellwood zauważył trzy postaci na noszach, przykryte jakimś materiałem.

— Kto tam leży? — spytał.

— Tolliver, Schweitzer i Wang Chiang. Próbowali wejść do przedniej części – zginęli w śluzie. W środku jest gorąco, siła ciężkości jest duża, a to co Ursanie wykorzystują jako powietrze, nie nadaje się do oddychania. To wszystko wykończyło tych trzech chłopaków.

Ellwood zmarszczył brwi. Nie lubił tracić ludzi. Ponadto, ludzie o kwalifikacjach odpowiednich dla dobrych beemwuwu, byli tacy rzadcy jak przysłowiowa czterolistna koniczyna. A jednak cieszył się, że wykonali swój obowiązek. Jeżeli przednia część wrogiego statku była ciągle nienaruszona, to ważne było aby taka została. Najprostszym sposobem byłoby wysadzić przejście do środka, ale wtedy trzeba będzie zrekonstruować panujące tam warunki. Tak więc na razie musieli poprzestać tylko na ich obserwacji.

— Czy ktoś wydostał się stamtąd – żywy?

— Tak. Darnhurst. Twierdzi, że w środku jest co najmniej jeden żyjący Ursanin. Widział go, jak czołga się po podłodze sterówki, ale szybko musiał stamtąd uciekać.

— Uciekł, bo Ursanin próbował go atakować?

— Och, nie. Po prostu nie mógł wytrzymać ciśnienia i całej reszty. Na statku działa jakieś urządzenie grawitacyjne i w środku trzeba pracować walcząc z trzema g. Temperatura zbliża się do tysiąca stopni, a powietrze stanowi mieszanka amoniaku, metanu helu, oparów azotanowych i około dziewięciu innych gazów, które nie zostały jeszcze zidentyfikowane.

Ellwood nie skomentował tych informacji. Gromada ludzi koło wraku właśnie ładowała coś na ciężką ciężarówkę, z pomocą dźwigu. Wyciągnęli to przez potężną dziurę pozostałą po uderzeniu torpedy. Ellwood podszedł i spojrzał na ładunek ciężarówki. To było naprawdę coś potwornego.

Martwy Ursanin dzielił wiele z cech charakterystycznych z modelowym okazem żółwia głębinowego, skrzyżowanego z ośmiornicą i czymś w rodzaju gigantycznej rogatej żaby. Składał się z siedmiu segmentów, masywnych i ciężko opancerzonych płytami kostnymi, każdy z nich wsparty był na grubej, słoniowej nodze o długości nie więcej niż czterech cali. Część z segmentów zwieńczona były u góry grupą kościanych kolców, w rozmaitych układach. Niektóre z nich wyrastały potrójnie, inne poczwórnie, a w przypadku jednego segmentu była tylko para. Żadne z

kolców nie miały tej samej długości, ani grubości, a odległość między nimi także była bardzo rozmaita. Pozbawione kolców-rogów były jedynie dwa segmenty, w pobliżu obu końców ciała. Zamiast nich, zwieńczone były płaskimi, obwisłymi naroślami, z których wyrastało mnóstwo ośmiornicowatych wypustków. Część zwisała luźno, swobodnie, inne były na wpół schowane w skorupie z której wyrastały. Miały także rozmaite zakończenia na zewnętrznych czubkach. Mniej więcej połowa kończyła się czymś podobnym do dłoni zaopatrzonych w kilka palców i przeciwstawny kciuk, inne wyposażone były w stożki przyssawek próżniowych, albo rogowate końcówki przypominające rozmaite narzędzia – dłuta, klucze nasadowe i tym podobne. Nie było jednak śladu żadnych organów jakie posiadała fauna Układu Słonecznego. Trudno było dostrzec cokolwiek odpowiadającego oczom, uszom lub nosowi, żadnego nawet mniej więcej odpowiednika ust. Stworzenia były całe opancerzone, usiane rogami, mackami i niewiarygodnie masywne.

— Ile takich stworów tam jest?

— Trzy. Wyglądają na paskudną bandę. Nie są zbyt mocno uszkodzone. Musiała ich zabić utrata atmosfery.

— Wyślijcie je zaraz do laboratorium i niech chłopcy się nimi zajmą.

Potem nastąpiło siedemdziesiąt gorączkowych godzin, w trakcie których żaden beemwuwu w placówce nie mógł sobie pozwolić na więcej niż tylko na króciutką drzemkę i zjedzenie szybkiej kanapki. W międzyczasie skompletowane zostało całe specjalne wyposażenie dla Ellwooda i wykonano mnóstwo wstępnych prac. Najłatwiejszą ich częścią były te, związane z dostępnym fragmentem statku.

Kadłub miał olbrzymią wytrzymałość i zbudowany był ze stopu, który jak na razie opierał się wszelkim próbom analizy. Jego wytrzymałość na rozciąganie była rzędu pół miliona funtów na cal kwadratowy. Był odporny na działanie kwasów. Nie miał żadnego możliwego do osiągnięcia punktu topnienia. Jakimś cudem katatron był w stanie rozgrzać go tylko do białości, nie było mowy o rozpyleniu na atomy. Jedynie bezpośrednie trafienie torpedy Mark IX mogło go przebić.

Główny napęd miał charakter atomowy, nie różnił się bardzo od stosowanego w ziemskich statkach. Działa były po prostu magnetycznymi wersjami katatronu. Beemwuwu, których specjalnością była artyleria, roili się wokół nich, cmokając z zachwytem i zapisując kolejne rzeczy. Jeśli chodzi o uzbrojenie, było coś naprawdę budzącego szacunek. Ursanie poznali sztukę akumulacji kul magnetronów pod potężnym ciśnieniem początkowym, a potem wystrzeliwania ich z prędkością bliską szybkości światła.

Ale czymś radykalnie odmiennym, był system sterowania statkiem. Żaden człowiek, a nawet grupa ludzi która mieściła się w wieżyczce sterowniczej i w maszynowni, nie mógłby manipulować porozrzucanymi po całym statku, dziwnie ukształtowanymi sterami. Tylko te sturękie stworzenia były w stanie podołać tej pracy. Cały układ był ściśle ursański,

stworzony przez Ursan i dla Ursan. Znaczące, że nigdzie nie było nawet jednego wskaźnika, miernika, opisu, ani żadnej innej wizualnej pomocy dla operatora.

Jeśli chodzi o samą sterówkę, którą ciągle okupował ocalały potwór, wyjący nieprzerwanie na czterdziestu różnych krótkofalowych częstotliwościach jednocześnie, Ellwood pozostawił ją w absolutnym spokoju. Nie skończył jeszcze zbierania narzędzi umożliwiających wejście do niej. Jedynym środkiem ostrożności jaki podjął było dopilnowanie aby mieć pod ręką rezerwę zapasów gazów niezbędnych do uzupełnienia tego co zużywał potwór. Dokonał jednak pewnego zaskakującego odkrycia, nie wchodząc do kłopotliwego pomieszczenia. Jeden z jego inżynierów z beemwuwu, wydedukował umiejscowienie systemu oczyszczania powietrza potwora i zbadał go w trakcie pracy. Produkt odpadowy był zadziwiający. Była to para. Po prostu para. Wprowadził ją do skraplacza. Produktem końcowym była destylowana woda, fakt podchwycony z wielkim zainteresowaniem przez zespół medyczny.

Oni także wykonali swoją pracę, ale na koniec trzeba było odebrać ją z ich rąk. Dalej podjęli ją spece od elektroniki i magnetoniki. Jeśli chemia ciała bestii była już czymś trudnym do zniesienia, to jego system nerwowy doprowadzał ludzi wręcz do szaleństwa. Była to masa splątanych przewodów – metalowych przewodów, ciężkich od radu – i dziwacznych zwojów, mogących służyć jako centra rozdzielcze. Do tego zestawy płaskich, na wpół kostnych, na wpół metalicznych płytek, które mogły być tylko rozmaitymi kondensatorami. Uzupełniały to jeszcze inne poskręcane urządzenia, służące prawdopodobnie jako transformatory, a rogi które zdobiły spiczaste segmenty, okazały się układami triod i antenami nadawczymi i odbiorczymi. Beemwuwu po beemwuwu patrzył na to i wytrzeszczał oczy. Coś takiego, po prostu nie mogło istnieć. Naruszało to – no cóż, mniej więcej wszystkie istniejące prawa elektroniki. A jednak… A więc, wracali do roboty. Co im się roiło w głowie w czasie tych króciutkich okresów snu jakie mieli do dyspozycji, tego nie zdradzali, ale było to na tyle szalone, że lekarze zaczęli wstrzykiwać hipnofren jako regularnie stosowany środek.

— Tu pan jest — powiedział Gonzales. — To kompletne wariactwo, ale to właśnie stwierdziliśmy.

Wręczył Ellwood'owi wersję draft wstępnego raportu.

Ursanie nie jedli, ani nie pili. Oddychali – oddychali dziwaczną mieszaniną znalezionych na statku gazów. Pod krawędzią płyty pancerza każdego segmentu, poza końcowymi, mieli skrzela, a każdy segment ich ciała wyposażony był w oddzielne płuca. Same płuca były fantastyczne, ponad wszelkie wyobrażenie. Stanowiły niesamowite połączenie skórzanych membran i elastycznych rurek z kwarcu. W rurkach krążyła krew tych stworzeń – roztwór silikonu, soli radu, siarki, żelaza, cynku i szeregu innych metali w mieszaninie kwasów, w której dominującym składnikiem był kwas azotowy. Krew ta odżywiała grubą, niezdarną nogę i

zwinne macki. Odżywiała ona także zwoje, karmiąc również inne elektroniczne urządzenia. Zawierały one zbiorniczki wypełnione płynem działającym jak się wydawało, jako elektrolit.

— Jeśli uwierzę w to, co tutaj widzę — powiedział Ellwood, stukając palcem w dokument, — będziemy musieli wyrzucić przez okno wiele z powszechnie przyjmowanych do tej pory koncepcji. Oto mamy potwory ze złożonym układem nerwowym, a bez mózgu. A jednak są one inteligentne, nawet jeśli myślą wyłącznie odruchami. Nie mają organów wzroku, dotyku czy słuchu, ale ewidentnie dostrzegają gwizdy na tyle dobrze, aby potrafić nawigować, a nas na tyle dobrze, abyśmy mogli stanowić cele. To wymaga radykalnej zmiany podejścia.

— Postrzegają otoczenie za pomocą krótkofalowego radia — przypomniał mu Gonzales. — Ten stojący w kącie zestaw radiowy, dostrojony jest do stałego brzęczenia, które wysyła ocalały w krążowniku Ursanin. Myślę, że w taki właśnie sposób śledzi on, co się wokół niego dzieje. Oto moje argumenty. Aktywowaliśmy obwody nerwowe prowadzące do tej pary rogów na segmencie numer trzy. Wysłały one identyczny ciągły ton, i odebrały go z powrotem. Impulsy zwrotne przepłynęły do jednego ze zwojów, z którego przesłane zostały do tego zestawu płyt kostnych. Chyba, że ktoś mnie przekona że się mylę. Mam zamiar nazwać te kości siatkówką.

Ellwood zachichotał. To wcale nie jest aż tak bardzo absurdalne, pomyślał. Od stuleci ludzie używali krótkofalowego radia do detekcji w nocy. Oto mieli przed sobą żywy organizm, który korzystał z niego przez cały czas.

— Dalej, te inne kolce i rogi, wykonują podobne, choć nieco odmienne obowiązki — mówił dalej Gonzales, kładąc palec wskazujący w określonych miejscach znajdującego się w raporcie diagramu. — Prąd płynący do tego pięcioramiennego układu powoduje wykonywanie zabawnych rzeczy, kiedy coś w jego pobliżu hałasuje. Nazwałby to konwerterem audio. Ursanie najwidoczniej nie przywiązują aż takiej wagi do słuchu, ale chyba uznali za użyteczne zamianę tego co nazywamy dźwiękiem, w coś innego, co ma znaczenie dla nich.

— Tak — przyznał z namysłem Ellwood. — Jest pan na dobrej drodze. Ciekawe, które z częstotliwości w paśmie emisji, to stworzenie wykorzystuje do komunikacji ze swoimi kolegami. Kiedy się tego dowiemy, będę miał punkt startowy do tego, co mam zamiar zrobić.

— Zobaczymy, czy nie uda nam się tego dla pana ustalić, szefie. Są trzy lub cztery fale, których używa tylko sporadycznie i to trochę jakby się jąkał. Dla mnie brzmi to tak, jakby słuchał wcześniej gadaniny między naszymi statkami i próbował teraz ją naśladować. Przy tych ich elektronicznych móżdżkach, trudno sobie wyobrazić aby Ursanie mogli nie wychwycić tego co wysyłaliśmy w eter. Nagraliśmy już sporo jego bełkotu i przekazaliśmy do grupy kryptograficznej, ale jak dotąd jeszcze nie udało im się złamać kodu. Może być tak jak pan sugeruje – jedna z tych fal jest falą mowy Ursan.

— Może tak, a może nie — wymruczał Ellwood, — ale to jest jakiś pomysł.

Tej nocy poczynił kilka istotnych zmian w swoich planach. Wypełnił eter pilnymi wiadomościami i jeszcze przed nadejściem poranka pierwsze samoloty z pośpiesznie zebranym sprzętem, zaczęły osiadać wokół ursańskiego pryzu. Do dziesiątej Ellwood był już gotów do przetestowania teorii, na której rozwijaniu spędził noc. Miał zamiar wejść do zamkniętego szczelnie pomieszczenia sterówki i przeprowadzić bezpośrednią rozmowę z uwięzionym w nim potworem.

— Lepiej rozegrać to w bezpieczny sposób, szefie — odezwał się beemwuwu dowodzący strażnikami. — To stworzenie może coś zrobić. Powinien pan pomyśleć o zabraniu ze sobą blastera.

Ellwood pokręcił przecząco głową.

— Myślę — powiedział, lekko się uśmiechając — że już od samego początku zaczęliśmy z tymi stworzeniami od niewłaściwej strony. I nie chodzi mi o ten statek, którym teraz się zajmujemy. Miałem na myśli całą historię naszych kontaktów z Ursanami. Długo nad tym myślałem. Czy nie zwrócił pan uwagi, że w ani jednym przypadku ursański statek nie wystrzelił do naszego, jeśli nie został wcześniej zaatakowany? Czy nie może być tak, że oni są zasadniczo pokojową rasą nieludzkich stworzeń, zupełnie nieskłonną do walki, chyba że w samoobronie? Doszedłem do takiej właśnie konkluzji i mam zamiar odpowiednio dostosować do niej swój następny ruch. Cokolwiek ten stwór miał zamiar zrobić lecąc prościutko w kierunku Ziemi, nie jestem w stanie uwierzyć że miał to być jakiś akt agresji.

— To pan jest tu szefem — odparł mężczyzna, wzruszając ramionami. Jednakże wyraz zaniepokojenia nie upuszczał jego twarzy.

Przygotowano potężny, ciężki fotel. Stał na ziemi, tuż obok włazu wejściowego ursańskiego statku, obok niego zaś ciężki dźwig. Ellwood kazał aby ubrano go w odporny, wytrzymały skafander kosmiczny, wyposażony w obwody chłodzące. To powinno pozwolić mu znieść okrutne temperatury tak miłe dla ich gościa, oraz jednocześnie osłonić płuca przed działaniem szkodliwej atmosfery. Potem kazał wciągnąć się na fotel, i wszędzie dokoła wygodnie porozmieszczać podręczne narzędzia. Sam fotel został specjalnie zbudowany na tę okazję. Był masywny, zamocowany na platformie unoszonej przez mocne wózki, zasilane niewielkim stosem atomowym. Ellwood mógł na nim siedzieć względnie wygodnie pomimo ciążenia 3g, panującego na pokładzie sterówki.

Skinął głową i obsługa dźwigu przeniosła go do otwartego włazu śluzy wejściowej. Zamknęli za nim pokrywę. Ellwood znalazł się w przedsionku pomieszczeń gościa z gwiazd. Reszta zależała już od niego.

Śluza zaczęła się coraz bardziej nagrzewać i wypełniła ją ze świstem trująca atmosfera z wnętrza statku. Ciśnienie narastało. Wkrótce warunki zrównały się z tymi, panującymi w środku. Wewnętrzny właz śluzy odsunął się na bok z sykiem i Ellwood skierował przez niego swój potężny pojazd. Właz zamknął się za nim z kliknięciem.

Widzialność dla ludzkich oczu była słaba. Ellwood postrzegał wszystko jak przez gęstą, mleczną mgłę, ale do fotela przymocowane były silne reflektory i po mniej więcej minucie widoczność wokół niego stała się dostatecznie dobra.

Sterówka była okrągłym pomieszczeniem w formie półkuli, z kopulastym sklepieniem. Poza podłogą, niemal każdy jej kawałek pokryty był panelami fantastycznej, skomplikowanej maszynerii. Rozciągały się one całymi zestawami po zakrzywionych ścianach; zwisały ponad głowami. Tylko stworzenia o długich, licznych mackach mogły dosięgnąć tych wszystkich porozrzucanych po całym pomieszczeniu urządzeń sterujących. Jako dzieło projektowania funkcjonalnego, było to bez wątpienia coś wspaniałego – ale z ursańskiego punktu widzenia. Ellwood omiótł sterówkę powolnym, zdumionym spojrzeniem, a potem wyrzucił z głowy sprawy wszystkich jej skomplikowanych tajemnic. We właściwym czasie, technicy odsłonią jej sekrety. Przed nim stało znacznie trudniejsze zadanie.

Ursanin leżał nieruchomo po drugiej stronie pomieszczenia. Ellwood mógł jedynie zakładać, że jego wejście nie pozostało niezauważone. Ze strony potwora nie było bowiem żadnych oznak, iż cokolwiek w jego nastawieniu do otoczenia uległo zmianie. Ellwood skierował swój fotel na środek pomieszczenia i zatrzymał się tam. Przepatrzył ściany w poszukiwaniu względnie płaskiego miejsca i w końcu znalazł coś – wielką płytę, zdającą się przykrywać fragment jakiegoś skomplikowanego układu urządzeń magnetycznych. Wszystko było w porządku. Ellwood odprężył się i wziął do ręki niewielkie czarne pudełko, leżące mu na udach. Zaczął kręcić gałkami jego strojenia, przeszukując pasmo fal krótkich.

Obaj adwersarze pozostawali na swoich pozycjach przez kilka godzin. Ellwood po prostu siedział i kręcił gałkami, szukając jakiejś sensownej reakcji w dochodzących do niego odgłosach. Potwór równie dobrze mógłby być martwy, jak ten leżący na stole sekcyjnym w laboratorium. Przez cały czas nie poruszył się ani odrobinę, a żadna z jego macek nawet nie drgnęła. Ale nieustannie robił interesujące rzeczy z wylewającym się z niego potokiem fal radiowych.

Nie trwało to długo, kiedy Ellwood zdał siebie sprawę że w jego wnętrzu zaczynają rodzić się jakieś dziwne sensacje. W dół i w górę jego kręgosłupa przebiegały dreszcze silnego podniecenia; jakieś elfie palce sięgały do bębenków jego uszu i bębniły po nich; w pewnej chwili poczuł nagłe ostre bóle w gałkach ocznych; a potem nastąpił bardzo trudny kilkuminutowej długości okres, kiedy akcja jego serca wręcz oszalała. Ellwood przyjął to wszystko ze stoickim spokojem. Był pewny siebie i nie czuł strachu. Był sondowany, badany i analizowany mentalnie, przez przenikliwy elektroniczny umysł odbierający wrażenia zmysłowe dzięki odbitemu promieniowaniu radiowemu. Rozpoznawał swą własną olbrzymią ciekawość, jako naturalną i będącą celem działania znajdującego się przed nim stworzenia. To, że tego rodzaju uczucie było wzajemne, było czymś absolutnie logicznym.

Wreszcie nastał spokój. Nadszedł czas na poprawki, wstępne przymiarki zostały zakończone. Ellwood przerzucił przełącznik i zaczął nadawać. Kropka-kreska, kropka-kropka-kropka-kreska i tak dalej,

korzystając z fali którą uznał za najbardziej prawdopodobną częstotliwość przesyłania przez stworzenie swoich idei. Nadawał przez minutę, a potem uśmiechnął się ponuro od ucha do ucha, kończąc standardowym „Odbiór”.

Potwór odebrał to. W odpowiedzi nastąpił grzechot pozbawionych znaczenia ta-ta-ta-da. Nie miał on dla niego sensu, ale kanał został znaleziony. Później kryptografowie mogą sporządzić taśmy z nagraniami i spróbować swoich sił w odnajdywaniu ich znaczenia. Nie będzie to proste. Hiszpański jest odmienny od Norweskiego, ale są one blisko spokrewnione – bliżej niż, powiedzmy, Chiński. A jednak wszystkie te języki wyrażają ludzkie myśli, w kategoriach ludzkich obrazów i dźwięków. W jaki sposób Ursanin, stworzenie które nie miało oczu, uszu, ani języka, mogło myśleć o rzeczach, pojmowanych przez jego mózg? To było sedno problemu.

Ellwood chętnie zgłębiłby ten aspekt. Dlatego właśnie w nocy zostały przepchnięte przez linie stratoplanów dodatkowe zasoby i był przygotowany do działania. Z tego powodu pozwolił na wymianę bełkotu informacyjnego tylko przez krótką chwilę. Potem sięgnął do swego cudownego kapelusza i wyciągnął z niego przedmiot numer dwa.

Był to mały, działający niezależnie rzutnik książek. Załadowane były do niego doskonałe filmy, stworzone przez Towarzystwo Rozwoju Kulturalnego Innych Planet w celu edukacji wenusjańskich talagów, marsjańskich phzitzów i dziwacznych istot żywych nawiedzających satelity Jowisza. Ellwood skupił obraz na płaskiej płycie, którą szczęśliwie udało mu się znaleźć. Potem zaczął wyświetlać.

Kluczem do sukcesów pedagogicznych jest odpowiednie skojarzenie idei. W taki właśnie sposób TRKIP rozwiązywało problem obcych języków. To prawda, że Ursanie nie posiadali wzroku, ale tak samo nie posiadali go phzitzowie. Prawda, że talagowie są tak samo głusi jak pień i niemi jak Ursanie, ale nauczyli się. Z Ursanami na pewno będzie trudniej, ale Ellwood był pełen nadziei.

Rzeczowniki, określenia rzeczy, są zawsze oczywistym punktem startowym. Pierwszy pokaz Ellwooda dotyczył Słońca, oglądanego z bliska, z okolic Merkurego. Na filmie widać było budzącą wrażenie paradę szalejących plam słonecznych, strumieni promieniowania.

„Słońce” nadał w kodzie międzyplanetarnym i jednocześnie wypowiedział to słowo na głos. Potem, zmniejszając jego średnicę, pokazał jak Słońce wyglądało po kolei na Ziemi, Jowiszu i Uranie. Za każdym razem powtarzał rzeczownik, zarówno przy użyciu kresek i kropek jak i mówiąc na głos. Powtórzył cały pokaz od początku, wysyłając na koniec „Odbiór!”.

— Słońce — otrzymał w odpowiedzi od Ursanina. — Odbiór.

Ellwood rozpromienił się pod hełmem, chociaż pot ściekał mu po oczach strumieniami. Ursanin był inteligentny. Zrozumiał o co chodzi. Teraz trzeba sięgnąć po drugi rzeczownik i skojarzyć go z odrobiną logiki semantycznej. Ponownie uruchomił maszynę, tym razem zmniejszając słońce do rozmiarów zwykłego punkcika błyszczącego białego światła.

— Gwiazda — brzmiał towarzyszący temu komunikat.

— Gwiazda — odparł Ursanin.

Następnie nadszedł czas na planety, wszystkie razem. Chociaż wyglądały odmiennie ale każdą z nich Ellwood nazwał po prostu „planetą”. Potem pokazał jedną po drugiej, tym razem kładąc nacisk na występujące między nimi różnice. Nazwał je po kolei: Merkury, Wenus, Ziemia, Mars i tak dalej. Ursanin nadążał za nim. Zaczął już powoli rozumieć ludzki wzorzec komunikacji. Istniały słowa wszechogarniające – ogólne terminy, obejmujące całe klasy powiązanych ze sobą rzeczy. Istniały także słowa szczegółowe, stosujące się do poszczególnych ich odmian.

Ellwood zrobił krótką przerwę. Ciekawe, że Ursanin również potrzebował odpoczynku. Może musi przetrawić to czego się dowiedział, pomyślał Ellwood. W każdym razie czekał, bez ruchu, a większość emitowanego przez niego promieniowania radiowego przycichła. Ellwood teraz już był przekonany, że jego plan działa. Sposób postrzegania potwora był wyraźnie nie z tego świata, ale jednak postrzegał on. I tylko to się liczyło.

Po przerwie, Ellwood powtórzył pokaz, mając nadzieję, że tym razem Ursanin wykona następny krok i dostarczy swoich wersji objaśnianych słów. Jednak obcy tego nie zrobił. Najwyraźniej, w ursańskim umyśle nie było odpowiadających im pojęć.

Ellwood nie naciskał. Na razie musiał zadowolić się uczeniem jednokierunkowym. Później – kto wie? Pokazał jako następne dwa statki kosmiczne. Pierwszy był ziemski, krążownik, drugi typowy pojazd ursański. Wprowadził po kolei ogólne słowa „statek kosmiczny”, „okręt” i kontynuował różnicując obie klasy. Ostatnia lekcja tego dnia polegała na wprowadzeniu przymiotników. Trzeba było zdefiniować określenia ziemski i ursański.

Po wyjściu na zewnątrz Ellwood stwierdził, że jest wyczerpany. Zaskoczony był, że był na statku zaledwie przez dwie godziny. Wydawało mu się, że spędził znacznie dłuższy czas w tych straszliwych warunkach odpowiednich dla ursańskich istot żywych. Grupa niespokojnych beemwuwu wyciągnęła go ze śluzy i wypięła z uprzęży fotela.

— Fiu — gwizdnął. — Teraz już rozumiem dlaczego katatrony nie działają przeciwko tym bobaskom. Rozgrzewają nie dający się stopić statek, ale cóż znaczy gorąco dla stworzeń, które przyjmują temperaturę tysiąca stopni, jako normalną? I czymże jest wzrost ciążenia we wewnętrzu statku, kiedy standardem są 3g? Wątpię, czy istnieje jakiś sposób zabicia tych stworzeń, chyba żeby pozbawić je tego ich cennego smrodu, jakim oddychają.

Odpoczywał przez resztę popołudnia, a następnie wrócił do wraku.

W trakcie nudnych tygodni nauczania, które nastąpiły potem, Ellwood poczynił ogromne postępy. Gdzie umiejscowiona była pamięć potwora, nie potrafił powiedzieć, ale musiał on ją posiadać. Kiedy bowiem Ellwood skończył z pojęciami konkretnymi, przeprowadził sprawdzian. Wyświetlił

serię obrazów, rozpoczynając od Słońca, nie wymieniając nazw pokazywanych obiektów. Ursanin wiernie podał odpowiednie rzeczowniki. Pozyskał już słownictwo liczące ponad tysiąc słów.

Czasowniki były trudniejsze, a możliwości ich abstrakcji znacznie gorsze. Ale szkolenie opracowane przez Towarzystwo, mądrze składało wszystko razem. Ellwood podążał za nim, niemalże jak za przykazaniami religijnymi. Opisywał różne czynności wykonywane przez ludzi, każdą z nich starannie ilustrując obrazami tak, by uwypuklić związaną z nią zasadę. Na koniec dotarł do pojęcia rywalizacji i pokazał jak rywalizacja nasila się do poziomu konfliktu. Walka pokazywana była w różnych aspektach, ale zawsze była to walka. Wtedy Ellwood zagrał swoją kartą atutową. Scena pokazująca walkę kończyła się obrazem jednej ze stron przekraczających linie podziału, wymachując białą flagą. Następnie obaj walczący wzięli się w ramiona.

W tym momencie Ellwood otrzymał od potwora pierwszą reakcję, wykraczającą poza zwykłe naśladownictwo. Została ona wysłana z podnieceniem, w języku angielskim. To był dziwaczny angielski, tak jakby zabarwiony mocno ursańskiem akcentem, ponieważ nawet w zakodowanej rozmowie można o czymś takim mówić.

Stworzenie rozumiało wszystkie słowa, ale składnia była jego własna. Niektóre z zestawień niemal się ze sobą kłóciły, ale Ellwoodowi wydawało się, że rozumie ku czemu zmierza Ursanin. Przerwał nadawanie i uważnie słuchał:

— Pokój! — powtarzał przez cały czas gość z kosmosu. — Pokój. Tak, to po to tutaj przybyłem. Nie jesteśmy wrogami, lecz przyjaciółmi. W naszych oczach jesteście słabowitymi, a jednak dzikimi potworami, ale teraz kiedy przyjrzałem się wam z bliska, widzę że nie jesteście na wskroś źli. Robicie wiele rzeczy w niezdarny sposób, ale możemy to odłożyć na bok. To jest twoja zasługa. Nie można was winić, że wasze wyposażenie sensoryczne i umysłowość są takie ograniczone, ale teraz przyznaję, że zrobiliście niesamowicie wiele, pomimo waszego upośledzenia.

— Dziękuję ci bardzo — sucho odparł Ellwood.

Otrzymane podziękowania wydawało się że na moment zakłopotały Ursanina, tak jakby było to pojęcie dotąd niewyjaśnione. Potem jednak podjął swoją przemowę:

— Już od długiego czasu jestem więźniem w tym niesamowitym miejscu — nadał Ursanin — i przysłuchiwałem się twoim naukom. Bardzo dokładnie. Teraz wiem już wiele o tobie, twojej dziwnej rasie i tych ohydnych planetach, na których zdecydowaliście się spędzać swoje życie. Nadeszła moja kolej. Pozwól mi uczyć ciebie naszym sposobem. Zostaw już to torturowanie mnie waszymi prymitywnymi urządzeniami elektronicznymi i po prostu usiądź i absorbuj. Zapewniam cię, że to co mi robiłeś, było dosyć bolesne, ale w swojej ignorancji nic nie mogłeś na to poradzić. Pokażę ci, że ursańskie sposoby są znacznie lepsze.

Ellwood potulnie wyłączył swój zestaw. Nie przyszło mu wcześniej do głowy, że mechanicznie generowane promieniowanie radiowe, może być nieco odmienne w swej charakterystyce od generowanego organicznie.

Stwierdził, że teraz kiedy nadeszła jego kolej na znalezienie się w funkcji odbiornika, modli się aby odpowiednie efekty nie były równie bolesne.

Okazało się, że nie było tak źle, chociaż były chwile że Ellwood czuł, iż zaraz oszaleje z powodu wysublimowanych uniesień obcego, czasami narastających w swej intensywności niemalże do poziomu męczarni. Ursanin odrzucił bowiem cały system pośredniczący kresek i kropek, oraz przeszedł bezpośrednio do źródła umysłowego. Przy pomocy swoich niesamowitych mechanizmów udało mu się dostroić do przepływów neuronowych w samym mózgu.

Było to doświadczenie jak ze snu, zbliżające się od czasu do czasu do koszmaru. Ellwood miał trudności, z późniejszym przekazaniem pewnych jego elementów Wielkiej Radzie. Prawdę mówiąc, miał nawet trudności z przypomnieniem sobie części tego co wtedy doświadczył, tak zupełnie obce ludzkiemu pojmowaniu było wiele niesamowitych scen które widział, i działań których był świadkiem.

Początkowo odczuwał zawroty głowy, jak ktoś poddawany znieczuleniu ogólnemu. Było to takie wrażenie, jakby jego dusza została wyrwana z ciała i zmuszona do unoszenia się w kosmosie. Nawet przez chwilę nie mógł być pewny, że widział to co widział, słyszał to co słyszał, a nawet czuł to co czuł. Odbierał zmysłami? Domyślał się? Postrzegał intuicyjnie? Niektóre z tego rodzaju czasowników wydawały się być bardziej odpowiednie. Wkrótce jednak Ellwood przestał się tym przejmować. Znalazł się w innym świecie, świecie tak niesamowitym, tak fantastycznym, tak zadziwiającym w swych ekstremach i zakłóceniach powszechnie przyjętych praw natury, iż zrozumiał że ludzka nauka do tej pory co najwyżej z lekka zarysowała powierzchnię wiedzy ogólnej. Widział jak chemia, fizyka, wszystkie nauki przechodzą gruntowne zmiany w warunkach straszliwych ciśnień i temperatur, napotykanych na pewnych odległych planetach. Wszystko było tam… no cóż, było *inne*.

Ursanin udzielił mu ogólnego kursu orientacyjnego. Ellwoodowi pokazano dziesiątki planet, w porównaniu z którymi Jowisz byłby malutką drobiną. Widział rasy innych potwornych stworzeń, które tak różniły się od znajdującego się przed nim Ursanina, jak Ursanin od niego, ale wszystkie żyły w tym samym otoczeniu. Sytuacja była analogiczna do wzajemnego czerpania korzyści z ziemi przez tak różnorodne stworzenia jak orły, słonie, węże, ludzie, ryby czy paciorkowce. Każde z nich miało własne potrzeby i obowiązki, choć każde z nich rzutowało na inne. Istniała między nimi współpraca, ale także i spory. I to co za spory! Ellwoodowi zrobiło się niedobrze, kiedy zobaczył sposoby walki niektórych gatunków potworów.

Istniała jednak ogólna cywilizacja, obejmująca produkcję i handel, której towarzyszyła i która była regulowana przez swego rodzaju etykę. Istniały organizacje rządowe i coś, co musiało być ciałami religijnymi. Stworzono system przemysłowy z potężnymi fabrykami, które najbardziej interesowały Ellwooda. Jak zobaczył, na niektórych planetach powszechne były pewne substancje dość rzadkie u nas, i vice versa. Złoto występowało

gdzieniegdzie na tyle obficie, by można było je stosować do pokrywania dachów, podczas gdy zwykła sól była niezwykle rzadka. Największe braki tkwiły w niedoborach radu, istotnego towaru, ponieważ dla Ursan jest on ważniejszy niż dla nas witaminy. To ze względu na głód radu, tak bardzo upierali się przy prowadzeniu prac górniczych na Czerwonej Plamie na Jowiszu, pomimo niegościnnego przyjmowania przez nas ich statków.

Niepostrzeżenie Ellwood został sprowadzony z powrotem z królestwa odległych planet i przez jakiś czas utrzymywany w czymś, co można nazwać jedynie stanem abstrakcyjnym. Nie odbierał w nim żadnych obrazów ani dźwięków. Tylko strumień idei. Ursanin zalewał jego świadomość filozofią Ursan odnośnie związków między gatunkami. Wcale nie była ona taka zła. Kładła nacisk na współpracę. Uznawała prawo innych do życia na swój własny dziwaczny sposób, a tam, gdzie powstawały konflikty, istniał skomplikowany kodeks, przy pomocy którego można je było pogodzić.

Wreszcie Ursanin dotarł do końca. Ellwood znalazł się z powrotem w swojej osobowości, oszołomiony i zmęczony, ale niezmiernie zadowolony. Wiedział, nie zdając sobie nawet sprawy skąd, że odtąd kontakty między nim a tym potworem będą dużo prostsze. Nie będą potrzebne żadne kreski czy kropki, ani słowa w jakiejkolwiek formie. Nie chodziło tutaj też o prostą telepatię, która przecież jest zaledwie nieco tajemniczym przekazem obrazów myślowych. Byli już ponad tym. Miało tu zastosowanie raczej coś w rodzaju super-telepatii, możliwej dzięki niesamowitemu kierowaniu prądami elektro-magneto-neuronowymi, dostępnemu dla istot z metabolizmem Ursan. W jakiś sposób surowa, podstawowa idea tego sposobu komunikacji spłynęła na niego w jednej chwili. Było to coś bezpostaciowego, natychmiastowego i nie poddawało się logicznej analizie.

Ellwood wiedział, że jego zadanie zostało zakończone pomyślnie. Przesłana mu wiadomość bez słów sprowadzała się do tego:

— My, władcy planet Armadiańskich krążących wokół wielkiego słońca Gol leżącego w połowie drogi między wami a Gwiazdą Polarną, przeszukaliśmy wasz układ i przekonaliśmy się, że istnieją dla nas podstawy do współpracy ku obopólnej korzyści. Stwierdziliśmy, że w waszym użytecznym posiadaniu pozostawały pewne niewielkie planety, zupełnie dla nas nieodpowiednie. Mieliśmy zamiar zostawić was w spokoju i zostawiliśmy was w spokoju. Stwierdziliśmy także, że posiadacie dwie inne planety, jedną bogatą, a drugą mniej, obie wystarczająco duże, by wspierać nasze kolonie. Obie są bezużyteczne dla was, i na zawsze takie pozostaną, ponieważ wasza osobista budowa jest zbyt słaba, a nauka na zbyt elementarnym poziomie. Dlatego też, zdobyliśmy je dla nas samych, opierając się waszym ignoranckim i okrutnym atakom tylko w takim stopniu, w jakim byliśmy do tego zmuszeni.

— Ponieważ teraz już wiem, że rządzi wami strach i czasami wpadacie w szpony chciwości i zazdrości, zdaję sobie sprawę, że nigdy nie zgodzicie się na oddanie nam tego, co i tak nie ma dla was żadnej wartości. Chcecie rekompensaty. Tak więc, choć niosło to ze sobą wielkie ryzyko i niemałe kłopoty, przybyłem do was jako emisariusz. W naszej części galaktyki

znajduje się wiele niewielkich planet, które dla was będą prawdziwym rajem, a na większości z nich istoty żywe są jeszcze bardziej prymitywne, niż wy. Jeśli przyznacie nam wolny dostęp do Jowisza i Saturna, w zamian doprowadzimy was do tych nieistotnych, pomniejszych planet leżących między naszymi i przyznamy wam równoważne przywileje. Jestem posłem Armadii. Oferuję wam traktat.

— Przekażę twoją wiadomość naszemu ciału rządzącemu — odparł Ellwood.

— **A**leż to jest nie do pomyślenia! — wykrzyknął Dilling, przewodniczący Rady. — Proszę pomyśleć o ryzyku. Skąd mamy wiedzieć, czy te… te potwory mają jakikolwiek honor? Jeśli pozwolimy im zbudować ogromne bazy, obedrzeć nasz układ z radu i swobodnie się po nim panoszyć, tylko kwestią czasu będzie zanim nas eksterminują. Ponadto, przecież to jest zwykłe ultimatum. Nie możemy ulec ultimatum otrzymanemu od… od… od…

Zatkało go i zapadł w gniewne milczenie, wciąż szukając wystarczająco pogardliwego słowa na opisanie ursańskich stworów, jak on je widział. Ellwood popatrzył na niego ze spokojną wzgardą.

— To nie jest ultimatum — chłodno stwierdził. — Nigdzie nie wspomniano o możliwych alternatywach, chociaż nie było chwili w przeciągu ostatniej połowy stulecia, w której Ursanie nie mogliby wypalić ogniem naszych wewnętrznych planet, od bieguna do bieguna, kiedykolwiek tylko przyszłaby im na to ochota. Widziałem ich narzędzia destrukcji i są one nie do wyobrażenia straszliwe. Proszą nas tylko, abyśmy przestali wywracać sobie mózgi na nice i poświęcać nasze statki w daremnych próbach podskubywania ich konwojów z radem. Mamy pół miliona ofiar śmiertelnych na ich trzy. Załogi statków, które udało nam się rozgrzać, były jedynie chwilowo ogłuszone. Tę trójkę stracili oferując nam obecny przyjazny gest.

— Phi — prychnął Dilling. — A cóż przyjaznego jest w obrabowaniu nas z niewypowiedzianych ton czystego radu, kiedy tak dużą wartość ma dla nas te parę posiadanych przez nas funtów?

— Ten rad, o którym mowa — odparł Ellwood, — równie dobrze mógłby nie istnieć, jeśli o nas chodzi. Ani nasze statki nie mają dostatecznie silnej konstrukcji i mocy, aby zmagać się z polem grawitacyjnym Jowisza, ani my ludzie nie jesteśmy na tyle wytrzymali by go wydobywać, nawet gdybyśmy byli w stanie tam dotrzeć. Zachowuje się pan jak pies ogrodnika. A jednak, wiedząc o tym i znając naszą słabość, złożyli nam ofertę. Scedują na nas planety równie dla nas wartościowe, co znaleziony rad dla nich. Robią to tylko z powodu swego poczucia fair play. Zaakceptujecie panowie ten traktat, ponieważ nie macie panowie innego wyboru. Oni i tak mogliby zabrać sobie ten rad i rozbić wszystkie nasze krążowniki, które próbowałyby im w tym przeszkadzać. Zamiast tego, proponują nam pokój i handel. Pomyślcie o tym inaczej, panowie, o tym co nam to obiecuje. Handel między-systemowy, nie tylko w sensie

astronomicznym, ale między systemami życia znajdującymi się na radykalnie odmiennych poziomach chemicznych i fizycznych. Handel między krajami tropikalnymi i chłodnymi, okazał się już taki zyskowny. Handel między Wenus, nami i Marsem jest zyskowny. A tutaj otrzymujecie panowie perspektywy, wręcz oszałamiające wyobraźnię.

Ellwood uciął swoją przemowę i usiadł. Powiedział to, co miał do powiedzenia. Reszta zależała już od Rady.

Dyskusja, jaka miała miejsce potem, była gorąca i bardzo długa, ale w końcu zdrowy rozsądek zwyciężył. Kiedy opuścił salę, miał upoważnienie do negocjacji.

Ellwood zbliżał się do statku Ursan, aby odbyć finalną rozmowę z ambasadorem obcych. Wkrótce miał odziedziczyć ten interesujący wrak by prowadzić nad nim każde badania, na jakie będzie miał ochotę. Ursanin transmitował właśnie do oczekującej daleko w kosmosie hordy, warunki które ustalili.

Niebawem powinien pojawić się inny ursański statek, tym razem w towarzystwie bezpiecznej eskorty, i zabrać posła do domu. W międzyczasie pozostały jeszcze ostatnie formalności do załatwienia.

Ellwood miał ze sobą angielski tekst traktatu. Zarówno ziemska i ursańska kopia wyryte były w podstawowym, układowym angielskim na grubych arkuszach czystego berylu, metalu zupełnie nieznanego na ciężkich planetach. Miał podpisać je razem z potworem i pozostawić mu jeden zestaw. Z kolei potwór miał wręczyć jemu kopię wersji golickiej.

Kiedy fotel Ellwooda wtoczył się na podłogę sterówki, Ursanin zrobił coś, czego nigdy nie robił wcześniej. Poruszył się. Przesunął się cal po calu na swoim rzędzie monopodów, w sposób podobny do gąsienicy, powoli pokonał pomieszczenie i spotkał się z Ellwoodem na jego środku. Długo uśpione macki wysunęły się ze swych gniazd i przystąpiły do pracy. Dwie z nich, kończące się podobnie do dłoni, wzięły arkusze berylu od Ellwooda, przetasowały je szybko i oddały Ziemianinowi. Potem sięgnęły do szafki na górze i wyciągnęły z niej pół tuzina złotych metalowych kul. Inna macka prześlizgnęła się na półkę i wzięła z niej jakiś przyrząd. Ellwood wiedział, jakby instynktownie, co powinien zrobić.

Golicki tekst traktatu okazał się być najdziwniejszym dokumentem, jaki kiedykolwiek pojawił się w archiwach ludzkości. Nie zawierał słów, lecz czystą myśl – myśl odciśniętą na powierzchni dziwnych metalowych sfer w formie regenerujących się ładunków neuronowych. Aby zrozumieć ich zawartość, inteligentny człowiek musiał jedynie przepuścić je przez dostarczony razem z nimi przyrząd. Był to skaner i w miarę jak kule przetaczały się przez niego, ukryta na ich powierzchni wiadomość nagle i tajemniczo stawała się znana każdemu kto był w pobliżu.

Ellwood przejrzał golicki tekst. Stanowił on cud klarowności wypowiedzi. Zawarte w nim klauzule były w pełni myślą, ani odrobinę nie powściąganą i pozbawioną jakichkolwiek zastrzeżeń. Każdy natychmiast wiedział, co ona znaczy. Nie było miejsca dla żadnych kruczków, nawet

gdyby tego zadania podjęli się najlepsi prawnicy galaktyki. Nie było najmniejszych odcieni znaczenia czy brakujących przecinków. Nie było żadnych „jeżeli”, „ale”, albo „i/lub”, ani „stron z tej strony i z tamtej strony”, które zaśmiecały wersję solariańską. Golicki tekst głosił dokładnie to samo co solariański, lecz w sposób doskonały.

Ellwood podpisał go, po prostu wyrażając zgodę myślą, która jakimś cudem nauki obcych stała się natychmiast częścią dokumentu. Potem złożył swój podpis na metalowym arkuszu, używając rylca. Ursanin podpisał się w podobny sposób, ale wykorzystał specjalną mackę, zakończoną odpowiednim narzędziem. Pod swoim nazwiskiem umieścił jakiś nieczytelny symbol, lecz to nie miało znaczenia. Solariańska wersja zawsze będzie podrzędna w stosunku do golickiej. Była ona anachronizmem, ukłonem w stronę prawniczej tradycji, dokumentem który zaśmiecać będzie skarbce archiwalne i zostanie zupełnie zapomniany. Jeśli kiedykolwiek powstanie jakaś wątpliwość, sfery myśli zapewnią właściwą odpowiedź.

Po wymianie dokumentów nastąpiła chwila ciszy. Dwa całkowicie odmienne organizmy – Ziemianina i Ursanina – zastygły nieruchomo, jakby były wykute w kamieniu. Zatopiły się w bliskim porozumieniu psychicznym. Dominowała w nim wdzięczność i życzliwość, wzajemne gratulacje. Każdy z nich uznał, że ten drugi wykonał wspaniałą robotę i każdy rozumiał czystość motywów tego drugiego. Potem klimat ten nagle się rozpadł i połączenie zostało przerwane. Ellwood w chwili gdy musiał zakończyć rozmowę, poczuł ogromną stratę.

W tym momencie Ursanin zrobił coś zdumiewającego. Zakończona dłonią macka przesunęła się po fotelu Ellwooda i przez chwilę spoczywała delikatnie na wyściełanym ramieniu. Następnie ześlizgnęła się do przodu po bulwiastym ruchomym łączeniu nadgarstka skafandra Ellwooda, znajdując jego pokrytą rękawicą dłoń. Podobne do ręki zakończenie macki pochwyciło dłoń Ellwooda i potrząsnęło nią uroczyście w górę i w dół. Następnie macka odsunęła się i skryła w swej osłonie. Było to pożegnanie i życzenia wszystkiego dobrego.

Po wyjściu, w śluzie, Ellwood czekał na spadek ciśnienia i napłynięcie do środka dobrego, czystego, chłodnego ziemskiego powietrza. Czuł, że coś go drapie w gardle, a oczy są wilgotne, a przy tym wilgoć ta nie ma nic wspólnego z potem.

— Skąd te Ursanin wiedział, że powinniśmy podać sobie dłonie? — wymamrotał. — Ja nigdy mu o tym nie mówiłem. Ani razu.

KONIEC